ROK DRUGI.

—

№ 40.

Warszawa

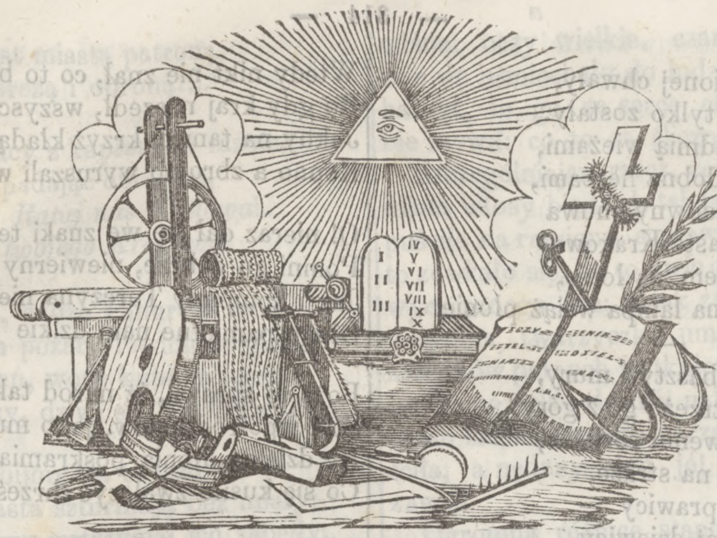
Dnia 22 Września

(4 października)

1857.

Niedziela

17 po ŚWIĄT-
KACH.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

W prawdziwej skrusze i pokorze serca rodzi się nadzieja odpuszczenia, ucisza się wzburzone sumienie, odzyskuje się utracona łaska, i Bóg sam do łona swojego pokutującą duszę przygarnia. (O naśl. Chr. K. 3 R. 52.)

Lirnik w podróży.

(Ciąg dalszy patrz nr. C. 36).

Na plantacyach. (1)

—

Wstał Boży dzionek, świeży i młody;
Wszystko go użyć spieszy w zawody:
Drobne ptaszęta nucą w krzewinie,
Odgłos ligawki słychać w dolinie;
Tu śpiew skowronka ucho twe pieści,
Swawolny wietrzyk liśćmi szeleści,
Dzwon świątyń pańskich, w smętnym odgłosie
Bieży daleko po rannéj rosie.
Wszystko się budzi i Stwórcy dzięki
Śle w głosie dzwonów, w dźwiękach piosenki.

Stary gród, drzewa na okół wieńczą,
Dając mu zdala postać młodzieńczą;
Tu rozłożyste lipy i klony,
Tu smagła topol, lub wiąz zielony—
Po ziemi miękka trawa się ściele,
Zdobią ją różne kwiaty i ziele,
Wszystko oddycha lubą swobodą,
Wszędzie zielono, świeżo i młodo.

—

Lirnik skrzepiwszy nieco snem siły,
Gdy go odgłosy dzwonów zbudziły,
Poszedł ku miastu, nucąc w pokorze:
Kiedy ranne wstają zorze
Śniąc on z przeszłości o starym grodzie,
Znalazł się zdziwion jakby w ogrodzie,
I gdzież te, mówił, baszty i mury,
Wały i fossy bronne z natury?
Wszędzie, gdzie tylko zwrócę me oczy,
Gaj tylko widzę wdzięczny, uroczy.

—

Gdy go ztąd droga wiodła już sama,
Zaszedł, gdzie stoi Florjańska brama,

(1) Staraniem byłego rządu w Krakowie, na pięknéj i wielkim kosztem zrównanéj płaszczyznie, dzielącéj miasto od przedmieść, w miejscu dawnych foss, murów i fortyfikacyj, założone zostały pełne życia i wdzięku przechadzki, zwane *plantacyami*, które przecinają ulice, wysadzone topolami, kasztanami, klonami i t. p., upiększają oraz bogate trawniki, będące prawdziwą ozdobą miasta.

Dawny zabytek minionéj chwały,
Któréj wspomnienia tylko zostały.
Poza nią druga z siedmią wieżami,
Jest znowu brama zdobna herbami,
Co w sobie obraz cudowny chowa
Swiętéj Patronki miasta Krakowa,
Boga-Rodzicy z synem na łonie,
Przed którym srebrna lampa wciąż płonie.

—

Więc na cóż miastu baszty i mury,
Gdy święta Panna strzeże go z góry?
Która gdy wojsku swemu rozkaże,
Pułki aniołów staną na straże,
I bronić będą mocą prawicy
Miasta miłego Świętéj dziewicy,
Albo też sama, skinieniem dłoni
Pokona wroga i gród zasłoni,
Jeśli dopatrzy w uczuciach ludu,
Że ten jest godnym boskiego cudu?

—

Przystanął Lirnik, z wzniesionym wzrokiem
Pod słodkich wrażeń dumał natłokiem,
Nie mogąc zmówić ni pozdrowienia,
Aż gdy przy sobie posłyszał pienia:
Królowo nasza od Boga dana!
Ocknął się z marzeń, padł na kolana,
I słuchał pieśni; ta znów mówiła:
Coś twe od Szweda miasto broniła,
I zlitowała nad sierotami,
Przyczyń się święta Panno za nami!

—

Gdy pieśń ucichła, on ze łzą w oku
Nie mógł od Maryi oderwać wzroku,
I długo patrzył w święte oblicze,
I jakieś modły niósł tajemnicze;
Aż spytał dziadka pod bramą znaną:
—Czy wiesz historję w pieśni podaną?
—Znam, odrzekł dziadek, choć bardzo mało,
Jak mi od ojców słyszeć się dało;
Bo chociaż niema opisu cudu,
Lecz żyje dotąd w podaniach ludu.

—

Więc obok siebie siedli na ławie,
A dziad rzecz zaczął w te słowa prawie:

Szwedzi pod Krakowem.

(Opowiadanie dziadka).

Dawnemi laty dobrze w kraju było,
Zbrojno i strojno i szczerze, aż miło;
Wojna czy pokój, wszyscy w bratniéj zgodzie,
Więc też i dobrze działo się w narodzie.

Wtedy nikt nie znał, co to bać się wroga,
Bo gdy kraj naszedł, wszyscy w Imię Boga
Jakby na taniec, krzyż kładąc na czole,
Konno a zbrojno wyruszali w pole.

O! nieraz dał się we znaki ten taniec,
Pomni go dobrze, niewierny pohaniec,
Jak i kompany Turczyna niewiary,
Długo pamiętne nam dzikie Tatary.

Bożą to sprawą, iż naród tak mężny,
Stał wpośród ludów, jako mur potężny,
By dzielną dłonią poskramiać pogaństwo,
Co się kusiło zwalczyć chrześciaństwo.

I bili wroga, jak Pan Bóg przykazał,
A żaden zdradą nigdy się nie zmazał;
Lecz gdy się zawiść i skażenie wkradło,
Szło coraz gorzéj, aż wszystko przepadło!...

Otóż początkiem téj krajowéj biedy
Byli z za morza przybyłe tu Szwedy,
Co Bóg wie za co, na nas się zawzięli,
I raz tu wlazłszy, już wyleść nie chcieli.

I kraj już cały zagarnęli zgoła;
Nasi jak mogli, stawiali im czoła,
I choć niejedna spadła szwedzka głowa,
Dotarli wkrótce pod bramy Krakowa.

I wraz ścisnęli jak stalowym sznurem,
Tylko, że miasto otoczone murem,
Więc się w niem broni nieliczna załoga,
Co kraj swój kocha, a boi się Boga.

Ale i na nią padł wnet strach niemały,
Gdy się naboje wszystkie wystrzelały,
A Szwed zaciekléj z armaty w mur walił,
Przedmieścia niszczył, rabował i palił.

Czerwone wkoło rozeszły się łuny,
A z dział wystrzały rażą jak pioruny,
Wtedy ostatnia znikła już otucha,
Czarne zwątpienie wstąpiło do ducha.

Cóż tu więc począć? czyliż się zniesławić,
Poddać stolicę, aby życie zbawić?...
Oh! nigdy, nigdy, lepiéj w dobréj sprawie
Ponieść śmierć srogą, niżli żyć w niesławie.

Albo czyż zaraz poddać się rozpaczy?
Może Bóg dobry zmiłować się raczy;

Toć matka Jego jest miasta patroną,
Może mu będzie tarczą i obroną?...

Więc szli mieszkańcy z kapłanami razem,
I przed tym tutaj padając obrazem,
Z płaczem wołali: *Ratuj nas Królowa!...*
Bądź dziś obroną, twojego Krakowa!

Gdy się tak modlą, widzą z murów nasi,
Jak święty Florjan pożar przedmieść gasi,
W największy ogień, wodę kubłem leje;
Szwed na to patrzy, dziwi się, truchleje...

To czary!.. woła, bijmy na te czary!
Więc znów do miasta szturmują bez miary;
Gdy wtem cud nowy wstrzymał ich zapędy,
Tak, że jak zajrzeć, odparty wróg wszędy.

W promiennym płaszczu, w koronie na skroni,
Z ognistym mieczem, błyskającym w dłoni,
Wspaniałym krokiem rycerska niewiasta,
Grożąc ztąd wrogom, chodzi wokół miasta.

Strzelają do niéj, lecz kule zwrócone
Ich samych rażą, na ich lecąc stronę;
Wtedy strach powstał i Szwedzi zaciekli
Tejże godziny zpod miasta uciekli.

Odtąd ten obraz, póki miasta starczy,
Służyć mu będzie za znak świętéj tarczy;
I skoro nowa zajdzie znów potrzeba,
Po swą obronę uda się do Nieba.

Macocha.

—

W niedzielę, letnią porą, przed samem jakoś południem, na progu chałupy we wsi Janikowicach, siedziała dziewczynka ze sześć lat mieć mogąca i trzymała na kolanach trzyletnie dziecię.

Na dziewczynie téj była zgrzebna, brudna koszula, przez którą w wielu miejscach na ramionach i rękawach przeglądało ciało; spódniczka parciana także stara i popsuta, a trudno wiedzieć jakiego koloru, bo tylko się wytarte nici świeciły; nogi bose i czerwone jak raki, wskazywały, że nigdy nie nosiła obuwia.

Jedném słowem, cała postać téj dziewczyny dowodziła nędzy i braku rodzicielskiéj pieczy; jednakże twarzyczka jéj była tak piękna i rumiana, oczy wielkie, czarne, tak miło a smutnie się uśmiechały do ludzi, że kto ją tylko zobaczył, to go za serce chwytała, i każdy sobie mówił: co to za śliczna dziecina!

Szczególniejsza rzecz, że przy czarnych oczach miała włosy bląd, ale tak jasne, że kiedy je rozpuściła na ramiona, a prawie zawsze tak nosiła, to zdawało się, iż to dwie garście złotego dobrze wyczesanego lnu; a tak zawsze głowa jéj była uczesana, twarzyczka umyta, we włosy parę kwiatków polnych wetknięte, że widocznem było, że co tylko do niéj należało w ochędóstwie około siebie, niczego porządna dziecina nie opuściła, a nędzny stan jéj ubrania nie od niéj zawisł.

Ogromną różnicę stanowił trzechletni chłopak, trzymany przez nią na kolanach—koszulka na nim była biała, cienka, pod szyją, szeroką czerwoną tasiemką zaścięgnięta, na niéj sukienka sycowa w czerwone kwiaty, a przez pas opasany jedwabną chustką. Na nogach niebieskie, z białemi dużemi zębami pończochy, a trzewiczki skórzane zabezpieczały stopy od ukłucia ciernią, lub obrażenia kamieniem. Na głowie miał czapeczkę dziecięcą, z czterech kwater się składającą, a każda z innéj materyi; szwy jéj wszystkie były obszyte białym podwójnym tiulem, na czubku zaś przyszyta kitka z wązkich różnokolorowych płatków. Twarz jednak tego dziecięcia była tak zeszpecona ospą, że aż przykro było nań patrzeć.

Dziewczynka miała przed sobą na kolanach i około siebie pełno modraku, i dokończywszy właśnie z niego korony, włożyła ją na swoję głowę, a tak jéj pięknie było w tym ustroju, że zdawało się, iż to jest jakieś malowidło. I zaczęła drugą koronę dla Wojtusia, który tymczasem gwałtem napierał się z głowy jéj korony, a kiedy mu dać nie chciała, zaczął ją drapać po twarzy i drzeć za włosy.

Basia, a niedarmo to imię nosiła, bo była tak cicha i potulna, jak owieczka, jak bazia, całowała go, mówiąc:

— Cicho kochaneczku, cicho, ja ci zaraz zrobię inną; ta na ciebie za duża — ale kiedy to nic nie pomagało, zdjęła z głowy z żalem swoję koronę i chciała mu ją włożyć, lecz Wojtuś wyrwał jéj z ręki i śmiejąc się, zaczął targać na kawałki. Basia chciała mu przeszkodzić, ale wszystkie jéj usiłowania były daremne—swawolny a mocny chłopak nietylko ją potargał, ale i poroz-

rzucał na wszystkie strony kwiatki, i kiedy Basia zaczęła mu się sprzeciwiać znowu, w niebogłosy krzyczał. Na ten głos drzwi chałupy z pośpiechem się otworzyły, i na progu pokazała się kobieta, mogąca mieć lat ze 30, tłusta i czerwona, w żółtéj zawiązanéj na głowie chustce.—Twarz jéj była okrągła, nos zadarty do góry, oczki małe siwe, a ruchliwe i niespokojne jakby w gorączce, zpod chustki żółte wyglądały włosy; w ręku trzymała ogromną warząchew drewnianą, którą widać co tylko od ognia odjęła, bo gęsta z niéj para wychodziła. Basia jak tylko ją zobaczyła, opuściła ręce, i z niemą bojaźnią zaczęła się w jéj twarz wpatrywać.

— Co to robisz dziecku, co tak płacze na całe gardło? pewnoś je wycięła albo wyszczypała?

— Tak, wycięła mnie po głowie, wołał, udając płacz, zły chłopak.

— Ale moja matusieczko, ja go nie wycięłam, tylko że mu nie chciałam dać modraku, i dlatego płacze.

— Łżesz ty cyganko! a dlaczegoś mu nie chciała dać modraku—to to ty mała?—do roboty tobie, a nie do zabawy, a gęsi pewno są w kapuście?

— Kiedyście mi kazali trzymać Wojtusia, to jakżem miała pilnować gęsi?

Dam ja tobie, poczekaj ty próżniaku, i to mówiąc baba, uderzyła parę razy biedną dziewczyne warząchwią po plecach.

Basia zanosząc się od płaczu, stała na boku i rzewne łzy ocierała rękawem; Wojtuś na ręku matki śmiał się i przedrzeźniał płacz nieszczęśliwéj.

—A nie idziesz mi ty po gęsi próżniaku? dam ja tu tobie szlochać, kiedym ci nic nie zrobiła, i jeszcze parę kułaków odbiło się na plecach Basi.

Basia nic nie mówiąc, udała się na ogrody poszukać gęsi, a tymczasem idącéj łzy po pięknéj twarzyczce jak grad spadały.

Janikowice była to wieś kościelna; państwo właśnie wychodzili z kościoła, a że dzień był piękny i niedaleko do dworu, cała kompania szła piechotą. Ksiądz proboszcz zaproszony na obiad, także im towarzyszył, a dwie dorastające córki państwa Miłockich dziedziców naprzód postępowały ze swoją guwernantką.

Basia przechodząc koło państwa, ukłoniła się, a księdza proboszcza, którego znała, bo poczciwy pleban sam uczył co niedziela po południu dzieci wiejskie, w rękę pocałowała.

Młodsza panienka spostrzegła zaraz łzy w oku Basi, i z dobrocią zbliżywszy się do niéj, zapytała:

— Czego to kochaneczko płaczesz, obracając się zaś do rodziców, dodała: Co to za śliczna dziewczynka, kochana mamo; szkoda tylko że tak obdarta. Czyja ty jesteś?

Proboszcz się zbliżył wówczas do Basi, wziął ją za rękę i przedstawiając państwu Miłockim, mówił:

— To sierota; prawda, że ma ojca Mateusza Gajdosa, ale ten po śmierci jéj matki ożenił się z drugą żoną, i nieszczęśliwie podobno trafił, bo widzę, że i on coś niewesoły, a ta biedna dziecina, dodał, pokazując na Basię, oto ubrana jakby córka jakiego żebraka—a przecież wiem, że po nieboszce zostały i ładne rzeczy i dziś Gajdos nie jest taki ubogi.

— Biedna sierota, mówiła pani Miłocka, a zapewne na myśli jéj stanęło, że i ona ma dzieci, i że w razie jéj śmierci, i one mogą dostać podobną macochę pogłaskała więc po pięknéj twarzyczce Basię i z dobrocią zapytała:

— Czego to płaczesz moje dziecko, czy to koszulki i sukienki białéj nie masz?

— Płaczę, bo mnie matusia wybiła; sukienki moje, co mi tamta dobra matusia poszyła, to teraz poprzerabiali dla Wojtka.

— A za co cię matka wybiła? zapytał pleban, głaszcząc ją po głowie.

— Bo mi kazali Wojtusia trzymać na ręku i nie odchodzić, a gęsi podobno weszły we szkodę.

Państwo widocznie byli wzruszeni jéj stanem.

— Kochana mamo, mówiła najmłodsza, tegoż prawie wieku co Basia panienka, jeżeli mama pozwoli, to ja jéj dam swoję sukienkę, tę w niebieskie paski, i koszulkę jaką.

— Pozwalam moje kochane dziecię, pozwalam, odrzekła pani Miłocka, z rozkoszą wpatrując się w swoją szlachetną córkę, i najlepiéj będzie, gdy zaraz z nami pójdzie do dworu.

— Chodź z nami Basiu, mówiła mała protektorka, zobaczysz, jak cię ładnie ustroję.

— Nie mogę, proszę panienki, boby mnie mama wybiła za to.

— Chodź, chodź, powiedział proboszcz, ja będę u twojéj matki i wytłumaczę jéj to.

Dziewczyna jeszcze się chwilę wahała, ale

nareszcie bojaźliwie oglądając się na chałupę, poszła za państwem.

Gajdosowa stojąc na progu chaty, widziała, że państwo tak długo rozmawiali z jéj pasierbicą, że ksiądz proboszcz głaskał ją po głowie, a nareszcie, że z niemi wracała.

Zła, i ciekawa, co z tego będzie, naumyślnie nie schroniła się do chałupy, ale trzymając Wojtusia za rękę, stała wciąż na progu chaty, około któréj wypadało właśnie państwu przechodzić, i kiedy ci się zbliżyli, pokłoniła im się do kolan.

— Nie mogłabyś to moja kobieto, mówił pleban, włożyć przecie białéj koszuli téj biedaczce? a wszak to dzisiaj dzień Boży, i samaś się ze swoim dzieciakiem ustroiła. Źle, źle tak moja kochana; przyjęłaś na siebie obowiązek matki, powinnaś go święcie dopełnić—Bóg wszystko widzi z nieba moja kobieto, i prędzéj czy późniéj, ukarze złe, a wynagrodzi dobre.

— Jak sobie też nie pomyślisz moja kochana, dodała pani Miłocka, że i twoje dziecko ten sam los może spotkać; wszakżeśmy wszyscy nie wieczni, i Basi matka była jeszcze młoda i zdrowa, jednak śmierć ją w jednéj chwili zabrała.

To mówiąc, cała kompania udała się daléj, biorąc z sobą Basię i zostawiając na progu Gajdosową, do najwyższego stopnia rozgniewaną.

Basia przybywszy do dworu, zaraz dostała od panienek jabłek i porządny kawał chleba z masłem i pieczenią, a kiedy obiedwie panienki nią się zajęły i kazały jéj włożyć czystą koszulę, spodniczkę i sukienkę w niebieskie kratki, na nogi zaś jéj dały trzewiki i pończochy białe, to tak pięknie wyglądała, jakby była pańskie dziecko.

Pani Miłocka wybrała jeszcze drugą sukienkę, koszulkę i spodniczkę, kazała jéj sobie z tego zrobić zawiniątko; obdarzywszy ją na drogę jabłkami, poleciła lokajowi odprowadzić do chałupy Gajdosa, i zapowiedzieć saméj gospodyni, żeby się nie ważyła jej bić, a co niedziela żeby Basia przyszła do dworu, dla zobaczenia, czy czysto koło niej i dla dowiedzenia się, jak się z nią obchodzą.

Służący odprowadził Basię, a kiedy się tylko oddalił, Gajdosowa coprędzéj pochwyciła zawiniątko z rąk sieroty i rozwiązawszy, spostrzegła jeszcze piękniejsze ubranie, jak to, które miała na sobie—oglądała każdą sztukę po kolei, po kilka razy rozwijała, a ręce ją paliły, jakby grzebała w rozpaloném zarzewiu. Basia tymczasem wyjąwszy jabłka i podawszy parę Wojtusiowi, resztę nieśmiało wtykała macosze w rękę.

Ta, jakby ją to dotknięcie oparzyło, gwałtownie odepchnęła biedną, łaszczącą się sierotę; jabłka się rozsypały po podłodze, a biednéj Basi łzy w oczach stanęły.

Ona biedaczka od tak dawna już nie zaznała pieszczoty matki; naprożno, jak spragniony kwiatek ku słońcu, obracała się ku ludziom, nikt jéj nie pieścił, nikt nie przytulił do piersi, nikt pocałunku na jéj czole nie złożył.

Ojciec jéj był to człowiek, który gdy wstał rano, wychodził do jakiéj roboty, nie spojrzawszy nawet na nią; przyszedłszy do domu, jadł znowu kartofle, kluchy, albo kapustę, a o nic więcéj głowa go nie zabolała. Jeżeli mu w niedzielę żona dała białą koszulę do przewleczenia się, to dobrze, jeżeli nie, to chodził i parę tygodni, nie mówiąc i słowa—a jeżeli czasem przy jakiéj okazyi odezwał się o co, albo ganiąc co, to kochana żonka, kiedy nie rozpuściła swojego języka, kiedy nie zaczęła wymyślać, wymawiać mu, że on stary, a ona młoda świat sobie przy nim zawiązała, że poszła na pasierby, że nie dosyć ma oprać siebie i jego, ale jeszcze i jego dzieciaki; to stary Gajdos uszy kładł tylko po sobie, przyczajał się jak zając w kotlinie przed chartami, i nic nie mówiąc, wychodził z domu—a chociaż czasem wiedział, że biedna Basia niesłusznie jest prześladowana, nie odezwał się ani słowa. Całe jego do niéj przywiązanie okazywało się jedynie wtenczas, kiedy powracając z jarmarku, przywiózł jéj kukiałkę i dał pokryjomu przed żoną, zalecając, żeby zjadła gdzie w kącie, i nikomu nie pokazywała.

I teraz Gajdosowa przepatrzywszy cały jéj tłómoczek, o mało nie oszalała z zazdrości.

—Takie piękne rzeczy, mówiła, i to temu brudasowi?—jakby się to przydało poprzerabiać dla mego Wojtusia. Wszyscy ją tylko chwalą, i w saméj rzeczy już to trzeba powiedzieć, że co piękna, to piękna. Ale poczekaj! i na to ja znajdę sposób; zniknie twoja piękność jak śnieg przed słońcem na wiosnę, niechaj mnie co chce kosztuje.

Przy tych słowach oczy jéj się zaiskrzyły radością, i nic nie mówiąc, Wojtka oddała Basi, zaleciwszy jéj, żeby o nim pamiętała i strzegła jak oka w głowie; sama zaś okryła się chustką świąteczną, weszła do komory, a zrobiwszy jakiś spory tobołek, wyszła spiesznie z domu, udając się do znanéj sobie znachorki. Ale za-

raz w karczmie sąsiedniéj spotkała ona wędrowną cygankę, z którą potajemnie długo rozmawiała, nareszcie kupiwszy od niéj jakiegoś ziela, wróciła do domu.

Jak tylko przestąpiła progi, zaraz wzięła w garnuszek mleka, nalała w niego krople z flaszeczki, i zawoławszy biedną Basię, dała jéj, głaszcząc ją po twarzy i mówiąc do niéj dobrotliwie:

— Masz moja Basiu, dzisiaj gorąco, to napij się trochę, bo widzę, żeś dobrze, jak mnie nie było, bawiła Wojtusia.

— Dziewczyna nieprzyzwyczajona do takich pieszczot, ze łzą w oku pocałowała ją w rękę i wziąwszy podane sobie mleko, usiadła na progu chałupy, żeby wypić.

Macocha widząc ją zabierającą się do picia, a tknięta wyrzutami sumienia, nie mogła patrzeć, jak to biedne dziecko będzie piło szkodliwy napój; powróciła więc do chałupy.

Basia tymczasem chciała się napić mleka, ale kiedy już garczek do ust przykładała, Wojtuś niespodzianie przyleciał, a zobaczywszy mleko, zaczął się okropnie napierać.

Poczciwa Basia nie odmówiła jego żądaniu, podała mu garnuszek, a chłopak z chciwością wychylił aż do dna. Kiedy właśnie wysączywszy ostatnią kropelkę, usta obcierał, weszła Gajdosowa, a zobaczywszy, że jéj Wojtuś pije przygotowane dla Basi mleko, jak wilczyca przyskoczyła do niego, wydarła garczek; przekonawszy się zaś, że próżny, zbladła, ręce na dół opuściła, i ledwie miała tyle przytomości, że zdolną była zapytać się:

— Czy ty Basiu nic nie piłaś, wszystko dałaś Wojtusiowi?

— Tak wszystko, bo mnie się niebardzo chciało pić, a on taki był pragnący.

— O! ja nieszczęśliwa, zawołała, załamując ręce macocha, zgubiłam swoje własne dziecko.

W największéj niespokojności upłynęło z pół godziny.

Nareszcie przypomniała sobie Klimkową wiejską znachorkę, i co jéj sił starczyło, poleciała do niéj po rądę.

Zmęczona, że pot jéj się lał z każdego włosa, doleciała do chałupy Klimkowéj, ale jakby nieszczęście chciało, Klimkowéj nie zastała w domu. Gajdosowa usłyszawszy tę wiadomość, okropnie się zmartwiła; nie odpoczywając więc ani chwili, jeszcze spieszniéj jak przyszła, powracała do chałupy. Tymczasem nadszedł wieczór, i kiedy wchodziła we drzwi, już dobry zmrok zapadł. Wojtuś spał do téj pory, jakby zabity.

Gajdosowa czemprędzéj zaświeciła łuczywo i zajrzała do niego; kilka dużych kropli potu wystąpiło mu na czoło, usta były spieczone i wykrzywione, czerwone plamy jeszcze większe na twarzy, a kiedy rękę przyłożyła do jego czoła, to było gorące gdyby węgiel—usiadła więc zamyślona nad nim, z obawą przysłuchiwała się jego snowi niespokojnemu.

Wojtuś nareszcie się obudził, zerwał się gwałtownie, i przykładając sobie rączki do czoła, wołał:

—Boli! głowa boli, bardzo boli—i prawie znowu w tejże saméj chwili zasnął na rękach matki. Gajdosowa związała mu głowę chustką w zimnéj wodzie zmaczaną, ale to jakoś nie skutkowało; całą noc trzymała go najokropniejsza gorączka, co chwila się zrywał na łóżku, plótł jakieś niezrozumiałe słowa, krzyczał przeraźliwie i miotał się na wszystkie strony, i ani się na nim jednego słowa nie można było dogadać.

Całą noc przepędziła Gajdosowa przy łóżku jego w najokropniejszéj niespokojności, a kiedy się rozwidniło i zobaczyła, że co chwila się prawie wzmaga choroba, miała tyle przecie rozumu, że poleciała zaraz po radę do księdza proboszcza.

Ksiądz proboszcz wypytał się po szczególe o chorobę, a wziąwszy z sobą jakieś proszki w pakieciku i ziółka, parę flaszeczek i laskę w rękę, spiesznie się udał za płaczącą kobietą do chaty.

Proboszcz przez chwilę przypatrywał się dziecięciu, nareszcie rzekł:

— Niebezpieczeństwo jest wielkie, niema ci co tego ukrywać moja kochana, ale i miłosierdzie Boskie jest bez miary.

Proboszcz zadał mu przyniesione lekarstwa. Gajdosowa nie śmiała przyznać się do winy, którą słusznie uważała teraz za największą zbrodnię, nareszcie się odważyła i opowiedziała księdzu proboszczowi całą sprawę.

Zbladł poczciwy kapłan na taką zbrodnię, ale widząc ją wtym stanie, że nie była zdolną przyjąć jego nauki, odrzekł tylko:

—Straszna jest ręka sprawiedliwości Boga—oto widzisz, chciałaś zgubić biedną sierotę, a naraziłaś swoje jedyne dziecię.

Wojtuś zasnął, ale sen to był nierównie spokojniejszy jak przedtém, nie majaczył już we

śnie, i gorączka znacznie sfolgowała, a kiedy Gajdosowa dała znać o tem księdzu proboszczowi, rozkazał on tylko dawać mu ciepłe ziółka do picia, a resztę zostawić Bogu.

Chłopczyna w kilka dni zaczął przychodzić do siebie, a nareszcie po upływie tygodnia powstał z łóżka, ale był tak blady i wycieńczony, że zdawało się, iż to widmo chodzące; przytém został mu jakiś ciągły zawrót głowy.

Kiedy już zupełnie wyzdrowiał, Gajdosowa poszła dać na mszą świętą na podziękowanie Bogu. Ksiądz proboszcz spostrzegł ją z ogródka, gdzie właśnie siedząc sobie na ławeczce darniowéj, czytał jakąś dużą nową księgę. Kiwnął na nią, żeby się zbliżyła, i tak do niéj przemawiał:

— Widzisz moja duszo, do czego cię doprowadziła zazdrość— naprzód popełniłaś wielki grzech, bo przysięgając przed Bogiem, że dla biednéj sieroty zastąpisz matkę, tyś się stała dla niéj największym ciemięzcą—i cóż ci zawiniła taka niewinna dziecina? Że ją Bóg obdarzył pięknością, a twojego chłopaka zeszpeciła ospa, to Jego była taka święta wola, a niemała i twoja wina, bo czemużeś to nie kazała zaszczepić ospy.

Bóg, moja kochana, widzi wszystko, a ile biedna sierota tutaj na ziemi łez wyleje, w tyle ją pereł ustroi w przyszłości. Anioł stróż zbiera łzy takie do drogiego naczynia, pełnego najpiękniéjszéj woni, i kiedy przyjdzie sądu godzina, i kiedy staniesz, żeby zdać rachunek ze swego życia, łzy takie zostaną rzucone na szalę twoję, i czemże je potrafisz przeważyć? A wierzaj mi moja duszo, że nic nie jest tu tak ciężkie, jak łzy uciśnionego, a stokroć cięższe łzy sieroty. Kobieto! Bóg najwyższy przez dobroć swoję nieskończoną, ostrzegł cię widocznie; staraj się naprawić swoje życie, wyspowiadaj się, i przysięgnij, że nietylko przez zazdrość, najmniejszéj krzywdy nie dopuścisz się nad biedną sierotą, ale owszem będziesz o niéj miała najczulszą pieczę, i w niczem nie będziesz ją rozróżniła od swojego syna; bo Bóg moja kochana patrzy na wszystko i czeka upamiętania.

Teraz zaś moja Gajdosowa, jak możesz wierzyć wędrownym guślarkom i oszukanicom? Żebym ją spotkał, zarazbym dał znać do władzy, a w kajdanach skończyłaby taka zbrodniarka; ale wierzę w sprawiedliwość Nieba.

Gajdosowa uściskała kolana proboszcza, ze łzami w oczach poprzysięgła, że odtąd z biedną pasierbicą obchodzić się będzie jak z własną córką, w niczem jéj nie zrobi krzywdy.

Proboszcz przeżegnał ją i pobłogosławił, utwierdzając w dobrych zamiarach.

I święcie dotrzymała słowa—odtąd Basia i czysto była ubrana i nigdy nie miała tak oczu zapłakanych, jak dawniéj. Wojtuś zaś przyszedł zupełnie do siebie, a matka nie pozwoliła mu odtąd dokuczać Basi.

Cyganka zaś owa doczekała się zasłużonéj kary, bo złapana, oddaną została w ręce sprawiedliwości.

Rozmowa przy pożarze.

Gdy wybuchnie pożar, gdy pędzi straż ogniowa, tłumy ludzi dążą na wskazane miejsce; lecz nie w chęci niesienia pomocy, ulżenia pracy zmęczonym przy poruszaniu pomp żołnierzom, ale jedynie przez ciekawość dla śledzenia postępu ognia, czynienia domysłów, słowem rozerwania się tem niezwykłem zjawiskiem.

I ja kiedyś w tym celu przypatrywałem się dość silnemu pożarowi, a znalazłszy chętnego do pogadanki towarzysza, prowadziłem z nim następną rozmowę:

—Krzyczą o wodę, sikawki próżnują; szkoda, bo w początku łatwiéj opanować ogień, a jak się przepali sufit i zajmie dach, to pójdą i inne przyległe drewniane budowle.

— Dowożą wprawdzie wodę, ale widać zdaleka, bo konie zmęczone, a jedna jest tylko blisko studnia, przy któréj stoi beczka.

— A czyżby nie można ulżyć i pospieszyć ratunku przez użycie stojących z założonemi rękoma ludzi? Dowożenie wody i poruszanie pomp przez samą straż, wstrzymuje ratunek, odrywając ludzi śmiałych, obznajmionych ze sposobem ratunku, przyzwyczajonych do ognia— a to dałoby się zastąpić przez utworzenie łańcucha pojedyńczego, albo lepiéj podwójnego z ludzi, wojska, od sikawki do bliskiéj studni, sadzawki, pompy wodociągowéj, za pomocą którego kilkadziesiąt lekkich kubłów lub konewek, ciągle z rąk do rąk podawanych, wystarczyłyby do napełniania zbiorników przy sikawkach. Przy większéj ilości wody, wten sposób zyskanéj, możnaby zwiększyć promień tryskającéj wody i pęd

strumienia, dwóch warunków koniecznych do szybkiego stłumienia niezbyt rozwiniętego ognia. A niewiadomo panu, jaka była przyczyna pożaru, skąd wybuchnął ogień?

— Mówiono tu, że z magazynu, ale wątpię skądby się wszczął ogień w magazynie, gdzie niema nic palnego i gdzie we dnie nie chodzą z ogniem.

— To być bardzo może—wieleż to pożarów wszczęło się w magazynach nie przez nieostrożność z ogniem, nie przez zbrodniczy zamiar, ale najczęściéj z bardzo naturalnéj przyczyny, o któréj jednak osoby bliżéj będące nie wiedziały. A takie pożary są zwykle straszniejsze, bo niedostrzeżone, w zamkniętem miejscu roztlewają, a spostrzeżone zwykle dość późno, za otwarciem wrot wybuchają gwałtownie, podsycone świeżem powietrzem i obejmują wówczas znaczną przestrzeń.

— Prawda, w magazynach może wybuchnąć ogień, np. w składach wapna niegaszonego, gdy przez dach zacieka, i na beczki deszcz spada; w składach węgli kamiennych, szczególniéj w kupach miału węglowego, sadzy; w stodołach, gdzie złożono wilgotne siano, trawę i t. p.— ale tu zdaje mi się nic takiego nie było, prócz pakuł, wełny, żelaztwa, drzewa wyrobionego.

— Przepraszam pana, ale i te ciała zdolne są do samoistnego zapalenia. W przędzalniach bawełny często powstają niespodzianie wybuchy ognia—a co się tyczy pakuł, te bardzo są zdolne do zapalenia, szczególniéj też, gdy pomiędzy niemi są pakuły używane przy wycieraniu machin. Pakuły nasiąkłe oliwą, a zwykle w takich razach i sadzami, szybko same zapalić się mogą. Umyślnie wtym celu czynione doświadczenia przekonały, że podobno pakuły na kupę zebrane, zdolne są do natychmiastowego niemal zatlenia; i dlatego zalecają bardzo ostrożnie z niemi postępować, odosobniać je od innych nagromadzonych palnych materyałów, zbierać w naczynia metalowe, zamykane i t. p. Nawet tłuste gałgany na kupę zrzucone, mogą się same zatlić.

— Pokazuje się, że po miastach, fabrykach wiele jest przyczyn ognia napozór ukrytych, i że często mylimy się, przypisując pożar zapuszczenia ognia, lub złéj chęci, i niekiedy posądzamy niewinnych, albo raczéj winnych, ale tylko swéj nieświadomości.

— Oj prawda, nietylko nieostrożnością, ale czasem i nieświadomością grzeszyć można. Dziwne czytałem wypadki wybuchów ognia. W pewnem miejscu skład prochu strzelniczego odsunięty od wszelkich budowli, gdzie rozumie się nigdy ogień i światło sztuczne nie postało, w południe dnia gorącego w powietrze wyleciał. Przypisują to szybom szkła nieczystego, w których, jak wiadomo, często się trafiają okrągłe wzdęcia, podobne do małych szkieł palnych, zbierających promienie światła i zdolnych zapalić proch, a lepiéj jeszcze miał prochowy w składach prochu obficie okna zalegający. Drugi zaś wybuch, który może u nas posłużyć za przestrogę, nastąpił w kloace, przez nieostrożność osoby, która zapalając cygaro, zapałkę z ogniem rzuciła do dołu. Mieszanina gazu zapaliła się z wielkim wybuchem, zerwawszy cały dach nad budynkiem i o mało nie wywołała pożaru.

Sposób ulepszenia i oczyszczenia łoju do fabrykacyi świec.

Pan Kappeccioni (Kappeczioni), Korsykanin, fabrykant świec w Paryżu, nadaje łojowi twardość, i zastępuje przykry jego zazwyczaj odór, miłą wonią w świecach swéj fabrykacyi, a to tym sposobem. Siedm części octanu ołowiu rozpuszcza w 1000 częściach roztopionego łoju, co nadaje temu ostatniemu pożądaną twardość i pozór stearyny. Dla nadania zaś zapachu, do tych 1000 części roztopionego łoju dodaje 15 części jakiegobądź dobrego kadzidła w proszku, i jednę część essencyi terpentynowéj.

Przysłowia.

1. Grzech bardziéj trapi duszę, niż choroba ciało.
2. Jeden zły wielu dobrych zepsuje.
3. Język sumienia nie oczyści; ludzi nim odbędziesz, ale sumienia nie pozbędziesz.
4. Każdemu w swéj sukni lepiéj, niż w pożyczanéj.

W druk. J. Unger—Wolno drukować. Warszawa d. 16 (28) września 1857 r.— Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.